ROZMAITOŚCI.

Dnia 8 marca, Nr. 10. roku 1845.

Dziewczyna z Mechliny.

Byłoto w piérwszych czasach rewolucyi francuzkiéj, w belgickiém mieście Mechlinie. Niedzielne dzwony wezwały pobożnych mieszkańców do świątyń pańskich; wszystkie ulice były próżne; tylko na placu przed kościołem świętego Rembolda stał jakiś młody człowiek, z wlepionémi w ziemię oczyma, jakby jakimś zdala zalatującym dźwiękom się przysłuchywał. W jednéj ręce miał kij, w drugiéj trzymał długi, cienki sznurek, który się wlókł po ziemi — a obracając się to w tę to w ową stronę, wołał żałośnie: »Fido — Fido — pójdź tu, i tyżeś mię opuścił?« — Lecz psa nie było. Sprzykrzywszy sobie obróżkę, wymknął się był z uwięzi, i gdzieś teraz zapewne z towarzyszami igrał.

Po niejakim czasie dały się słyszeć lekkie kroki w ulicy, a oblicze młodego nieznajomego zajaśniało weseléj.

»Przepraszam,« ozwał się zwrócony ku nadchodzacéj osobie — a byłato młoda, miejska dziewczyna — »nie mógłżebym prosić o wskazanie mi drogi do oberży »pod złotym lwem?«

»To nie daleko ztąd,« odrzekła zagadniona — »idź pan tylko prosto, a potém zwróć się na prawo...«

»Ach!« przerwał nieznajomy z posępnym uśmiechem. »Takie wskazanie na nic mi się nie przyda; mój pies mi uciekł, a jam — ciemny.«

Rzewny głos, którym te słowa były wymówione, przeniknął w głębi serca dziewczynę. »Przebacz pan, przebacz;« odpowiedziała prawie ze łzami — »lecz nie zważałam tego. Weź mię pan za rękę, a zaprowadzę go do oberży. Szczérze proszę,« — dodała widząc że się ociąga — »mam dość czasu, zaręczam pana.«

Nieznajomy położył rękę na ramieniu dziewczyny, a chociaż nasza Lucylija — tak jéj było na imię — zwykle za bardzo wstydliwą uchodziła, nie czuła najmniejszéj teraz obawy, widząc się tak z młodym obcym mężczyzną sam na sam przez ulicę idącą.

»Głos panienki jest bardzo miłym,« rzekł ciemny po niejakiém milczeniu — »a po głosie tylko,« — dodał z westchnieniem — poznaję i młodość i piękność.«

Lica dziewczyny spłonęły żywym rumieńcem, lecz temu rumieńcowi towarzyszyło pewne uczucie bolu, gdyż wiedziała nieboga, iż piękną zwać się nie mogła.

»Czy panienka jesteś z tego miasta rodem?« zapytał daléj.

»Tak jest, panie; mój ojciec ma podrzędną posadę przy magistracie, a moja matka i ja, zarabiamy sobie tkaniem koronek. Ludzie nazywają nas ubogiémi, lecz my sami wcale o tém nie wiémy. — A pan-że,« — dodała uprzejmie — »czyś tu już oddawna?«

»Nie, od wczoraj dopiéro. Jestem w podróży przez Niderlandy. Śmiésznato rzecz zapewne — gdy ciemny podróżuje; lecz i on także znudzi się bawiąc zawsze na jedném miejscu. Przybywszy tutaj, chciałem w czasie nabożeństwa, gdy ulice zwykle są wyludnione, oddychać przynajmniéj powietrzem tego miasta, którego widzieć nie mogę. Ale bywają ludzie, którym tak źle na świecie, że nawet psy nie chcą się ich trzymać.«

Wyrzekł to był z goryczą; niewierność ulubionego psa dotknęła go boleśnie. Lucylija otarła cichą łzę z oka. »Czy pan sam jeden podróżujesz?« zapytała. To mówiąc spoglądnęła nań baczniéj niżto dotąd czyniła, i postrzegła, że zaledwie dwadzieścia dwa lat mógł liczyć. »Nie maszże pan ojca, lub m a t k i z sobą?« zakończyła, wymawiając ostatnie słowa z zadziwieniem.

»Jestem sierotą,« — rzekł nieznajomy — »i nie mam ani brata, ani siostry.«

Ten opuszczony stan ciemnego zlitował niewymownie Lucyliję; nigdy jeszcze tak mocnego nie doznała wzruszenia. Uczuła jakiś nieznany niepokój w sercu — jakiś tajemny, głęboki udział, przywiązujący ją naraz silnie do niego. Życzyła sobie w téj chwili, aby mogła być siostrą jego.

Bolesna sprzeczność, zachodząca między młodością, postacią i ciężką niedolą młodzieńca, która tę młodość pozbawiła nadziei, a jéj postaci wszelką żywość odjęła — jeszcze bardziéj litość jéj powiększyła. Jego rysy odznaczały się szlachetną regularnością; cały skład ciała był nadobny i silny, pomimo że ostrożnie i nie wesoło stąpał.

Idąc tak razem, zwrócili się w małą, wązką uliczkę, gdy tuż za niemi ozwał się tentent koni. Lucylija obejrzała się poza siebie i postrzegła nadciągający oddział jazdy belgickiéj.

W téj trwodze, przycisnęła swego towarzysza do muru i stanęła przed nim w zasłonę, cała drząca od strachu. Zbrojny orszak przeleciał pędem koło nich, a gdyby Lucylija była natenczas spojrzała w oblicze nieznajomemu, byłaby obaczyła, jak marsowe natchnienie na odgłos chrzęstu zbroi rozjaśniło jego posępne lice, a pochylona głowa hardo w górę się podniosła. »Dzięki Bogu!« zawołała, gdy już cały oddział przejechał — »niéma już niebezpieczeństwa!« — Lecz to była próżna pociecha! Jeden z ostatnich jeźdźców miał na nieszczęście narowistego konia. Fukanie się i ostroga rozogniały jeszcze bardziéj dzikość rumaka, który w ciasnéj uliczce na obie strony wierzgać nie przestawał.

»Strzeżcie się, mówię wam!« krzyknął jeździec, zbliżając się ku miejscu, gdzie Lucylija z ciemnym pod murem stała. »Czyście bez rozumu? Czemuż nie uciekacie!«

»Na rany zbawiciela!« skrzyknęła dziewczyna. »On ciemny.«

»Ach uchodź — uchodź, moja łaskawa przewodniczko!« zaklinał ją nieznajomy, usłyszawszy o grożącém niebezpieczeństwie. Lecz Lucylii ani na myśl nie przyszło opuścić go w téj przygodzie. Jeździec z całéj siły odparł głowę konia w przeciwną stronę, lecz odwracający się od nich rumak, wierzgnął zadniémi kopytami i ugodził w rękę Lucyliję, która nie mogąc oraz i siebie i ciemnego ochronić, zasłoniła go sobą pośpiesznie, i przeznaczone jemu uderzenie otrzymała: — jéj lekka, cienka ręka owisła zgruchotana, a jeździec pognał daléj.

»Dzięki Bogu! Już pan jesteś bezpiecznym!« zawołała radośnie; poczém przemożona bolem i przestrachem, skłoniła się w ramiona nieznajomego, które tenże przeczuciem ku niéj był wyciągnął.

»O moja przyjaciółko — moja zbawczyni!« krzyknął ciemny boleśnie. — »Jesteś skaléczoną.«

»Nie panie,« odrzekła Lucylija przytłumionym z boleści głosem — »już mi jest lepiéj. Weź mię pan za drugą rękę; tak! — Jesteśmy już niedaleko pańskiéj oberży.«

Lecz ucho ciemnego wprawione w dostrzeganie najlżéjszych odcieni ludzkiego głosu, oznajmiło mu zaraz cierpienie biédnéj dziewczyny; zwolna wymógł na niéj wyznanie, że była skaléczoną; ale że to się stało w skutek bronienia go przed niebezpieczeństwem, tego mu szlachetna Lucylija nie wyznała. Ciemny jednak nastawał, aby przysługę przysługą odwdzięczając, teraz on ją do jéj domu odprowadził; a młoda przewodniczka, która prawie omdléwała z boleści, ujrzała się zmuszona przystać na jego prośbę. Szczęściem mieszkanie ojca Lucylii nie było bardzo oddalone; a tak staneli niezadługo u celu, gdzie Lucylija ledwie przez próg stąpiwszy, prawie bez zmysłów padła na ziemię. Spiesznie opowiedział nieznajomy cały wypadek, prosząc usilnie, aby na-

tychmiast po chirurga posłano. »Wezwijcie najzdolniejszego, najznakomitszego w mieście!« wołał w najwyższem wzruszeniu. »Jestem bogaty, a to jest rzeczą najmniejszą, jaką dla wynagrodzenia waszej szlachetnej córki uczynić mogę.«

To mówiąc, nadstawił sakiewkę, której wszakże ojciec nie przyjął. Niedługo trwało przybiegł lekarz i po pilnem opatrzeniu obwiązał skaleczoną rękę. Nieznajomy nie odszedł wprzódy, aż matka przyrzekła, iż mu nazajutrz doniesie, jak biedna Lucylija noc przepędziła.

Mimo że sobie nasz nieznajomy był przedsięwziął jak najprędzej wyjechać z tego miasta, zwlekał przecież od dnia do dnia swój wyjazd, tak długo, aż wreszcie sama Lucylija z matką do niego przyjść już mogła, aby go zapewnić o swojém wyzdrowieniu.

W smutym stanie Amedeja — tak się nasz nieznajomy nazywał — nie było nic dziwnego, że go szlachetne poświęcenie się Lucylii nadzwyczajną czułością dla niej przejęło. Wieczna ciemnota, na którą był skazanym, nie osłoniła mu oka duszy, przed którą częściej może niż u kogo innego, urocze obrazy wymarzonej piękności się pojawiały; będąc bowiem nieustannie samotnym, doznawał tém bardziej działania ognistej z przyrodzenia fantazyi i wzruszeń serca utęskniającego za udzielaniem się drugiej pokrewnej duszy, za spółczuciem z drugiém podobném sercem.

Słusznie on był wyrzekł, iż jedynym środkiem, którym mu piękność mogła się objawić, była melodyja głosu; nigdy też jeszcze nie odbił się rzewniejszy głos o słuch jego, nad głos owéj młodéj dziewczyny. Jéj tkliwe, w czasie nieszczęśliwego skaleczenia wyrzeczone słowa: »Dzięki Bogu, już jesteś pan bezpiecznym!« brzmiały mu ciągle w duszy. Marząc o niéj nieustannie, uczuwał jakieś słodkie, nieznane dotąd wzruszenie, którego sobie wyjaśnić nie mógł. A Lucylija? — U niéj — jakto zwykle u kobiet bywa — ten sam nieszczęśliwy wypadek, który się jéj z jego powodu zdarzył, powiększył témbardziéj przywiązanie, jakie uczuła już wprzódy dla człowieka, pozbawionego w pierwszym kwiecie młodości widoku najpiękniejszych obrazów życia, tak samotnie i bez żadnéj pociechy, na wieczystą noc skazanego. Niewiasta czuje zawsze anielską potrzebę aby miała zawsze o kimś staranie! Ztądto były i będą kobiety wiecznie aniołami-stróżami chorych, starców i dzieci. Tożsamo uczucie przywiązało tkliwą Lucyliję do młodego nieszczęśliwego podróżnika. Przy płomiennem sercu i przy sposobie myślenia przechodzącym daleko jéj lata i niski stan rodziców, nie była ona wolna od owéj skromnéj próżności, która jéj nader boleśnie brak fizycznéj piękności uczuć dawała. Wiedząc z jaką namiętnością onaby kochać mogła, sądziła niepodobieństwem, aby ją ktoś równie mocno kochać był w stanie. Dopiero ten nieznajomy, przewyższający w jéj oczach wszystko cokolwiek dotąd widziała, przemówił do niéj tym rzewnym, czułym głosem, który nierównie pewniej niż wyrzeczone nim słowa, do niewieściego serca trafiają. Dla niego była ona piękną, do niego przemawiała jéj dusza bez doznania uszczerbku, jaki jéj zwykle szpetność jéj rysow wyrządzała. Bo istotnie zbywało Lucylii na wszelkim zewnętrznym wdzięku. W dzieciństwie była wprawdzie ładną i zdawało się, że kiedyś jeszcze piękniejszą będzie; lecz ospa — ta straszna ówczas choroba — zatarła wszelki ślad jéj piękności. Niétylko iż jéj gładkie lica szpetnémi bruzdami się poorały a białość płci ze szczętem zaginęła, ale cały nawet wyraz twarzy został zmienionym. Na nieszczęście słynęła jéj rodzina z piękności swoich córek, i nie mało tem się szczyciła. To też rodzice Lucylii nawykli byli narzekać tak ciężko na nieszczęsne skutki jéj nielitościwéj choroby, iż biedna dziewczyna przywykła czuć daleko głębiéj swoje nieszczęście, niż ono w istocie zasługiwało. Oprócz tego miała Lucylija bliską krewnę Juliję, która w całéj okolicy za cud piękności uchodziła. W obec pięknéj kuzynki, która zawsze prawie razem z Lucyliją żyła, było przeciwieństwo jéj szpetności zanadto uderzającém, aby nieboga ztąd niejednego przykrego uczucia nie doznała. Ale wszelkie nieszczęście ma swoje dobrą stronę: świadomość zewnętrznéj niedoskonałości uczyniła ją łagodną i potulną, dodała pokory umysłowi, który może byłby się stał wyniosłym, i poskromiła serce, będące z natury gwałtownem i namiętnem.

Zresztą kto tylko dłużéj z Lucyliją bawił, ten nie wiedział nawet czy ona brzydką była. Wszyscy którzy ją znali, musieli ją kochać. Dokąd się tylko udała, przynosiła z sobą jakiś tajemny urok, który jéj natychmiast każde serce zniewalał. Gdzie jéj nie stało, tam wszyscy jakąś próżnię uczuli, któréj ani sławiona piękność Julii zapełnić nie była w stanie.

„Przedsięwziąłem sobie,“ rzekł Amedej do matki Lucylii, siedząc w jéj małym saloniku — gdyż znajomość jego z państwem Le-Tisseur, rodzicami swéj przyjaciółki, doszła już do tego stopnia zażyłości, iż mu wolno było odwidzać ich nawzajem i bywać często w ich domu; a pies, który jak żałujący grzesznik, znowu do swego pana powrócił, prowadził go zawsze wiernie do ich skromnego mieszkania, i zatrzymował się instynktem na progu. — »Przedsięwziąłem sobie,« — powtórzył nieco zmieszany — »zabawić cokolwiek dłużéj w Mechlinie. Powietrze mi bardzo służy, a cisza jaka tutaj wszędzie panuje, odpowiada mojemu umysłowi. Ale czujecie państwo, że w oberży, śród obcych, położenie moje nie bardzo jest dogodne.« Tu zamilkł znowu na chwilę. — »Sądziłbym, iż gdyby jaka łaskawa

rodzina chciała mię przyjąć do siebie na mieszkanie, więcbym jeszcze jakiś czas tu zabawił.”

„Niéma wątpienia,” — odrzekła matka Lucylii — »iż w naszém mieście znajdzie się niejedna rodzina, któraby sobie miała za szczęście, przyjąć pana u siebie na mieszkanie.”

„A państwo, czyżbyście mię przyjęli?” zapytał żywo. — »Właśnieto o pańskim domu myślałem.”

»O naszym domu? — Pan nadto jestes łaskawy, lecz nie wiém nawet, czybyśmy mieli pokój, któryby był dość przyzwoitym dla pana.”

»Ach jakaż dla mnie różnica między takim albo innym pokojem!” rzekł posępnie Amedej. »Dla mnie ten pokój jest najmilszym, w którym głos ludzki najmiléj do mnie przemawia.”

Poczyniono więc stosowne urządzenia a biedny młodzieniec zamieszkał pod jednym dachem z Lucyliją. Jakże oboje z tego szczęśliwi byli! Jeźli obecność lubéj dziewczyny niewymowną roskoszą przejmowała młodzieńca, azaliż i ona nie była nad wszelki wyraz szczęśliwą, że mogła nad nim czuwać, mogła mu w każdéj chwili jakąś przysługę zrobić, że przywyknąwszy do niéj, nie obszedł się prawie bez jéj starań i opieki, że jéj tak mile za każdy krok dziękował? — Amedej lubił namiętnie muzykę; on sam grywał dobrze na flecie, i chyba tylko melodyja jego własnego głosu przewyższała słodycz melodyi gry jego. Nie byłaż więc szczęśliwą, siedząc w milczeniu przy nim i przysłuchując się tonom, jakich jeszcze nigdy nie słyszała? — Nie byłaż szczęśliwą spoglądając na to posępne oblicze, które natychmiast miłym uśmiéchem się rozjaśniło, skoro tylko lekki odgłos jéj mowy go doleciał. Nie byłaż szczęśliwą, gdy po skończonéj pieśni, Amedej rzekł: »Lucylijo!” a wymówienie imienia jéj przez te usta, słodszém jéj od saméj pieśni się zdało? — lub, gdy w ciche letnie wieczory, wychodzili oboje wraz na przechadzkę, a chora jéj ręka drżała pod lekkiém dotknięciem się młodzieńca, który bez niej obejść się nie mógł. Wtedy uczuwała prawie dumę ze swego szczęścia, a jéj wdzięczność dla niego: iż jéj pokorną duszę aż do tego wzniósł stopnia, że mogła być kochaną — dorównywała uwielbieniu, jakie dla wyższych od nas istot czujemy.

Amedej pochodził z francuzkiéj rodziny, zamieszkałéj w okolicy miasta Amiens, gdzie od lat kilku posiadał znaczny majątek. W trzecim roku życia ociemniał. — »Nie wiém,” mawiał on do Lucylii, opowiadając jéj wypadki swojego życia — »nie wiém jak wygląda ziemia lub niebo, lub ta rzéka, któréj szum mię zadziwia; nie wiém tego, bo nic mi się o tém nie przypomina, jak tylko jakiś zawiły lecz nader uroczy stek tysiąca barw promiennych — jakieś roskoszne uczucie zachwycenia — jakaś niby widoczna muzyka. Lecz dopiéro w końcu mojego dziecinnego wieku zostałem pozbawionym widoku nieba i słońca, i nigdy ich już odtąd nie widziałem. Późniejsze lata moje upłynęły spokojnie; wtenczasto jeszcze lada nicnieznacząca drobnostka zdołała zająć mój umysł i sprawić mi przyjemność. Lecz odkiedy zacząłem doznawać roskoszy gdy mi czytano, gdy się żywym obrazom poetów przysłuchywałem, gdy zasłyszenie spaniałych czynów krew mi rozpłomieniało, gdy mię książki z potęgą samodzielności, z celem żywota, z całą pięknością życia obeznały — wtedyto dopiéro uczułem z niewymowną boleścią, ile dla mnie na wieki było wydarte; uczułem, że tylko jestem na świecie, ale nie żyję, że śród powszechnéj wolności ja sam muszę tęsknić w więzieniu, z którego niémasz ucieczki. Dopóki jeszcze moi rodzice żyli, miałem jakiś rodzaj pociechy, przynajmniéj nie byłem opuszczonym. Lecz oni wkrótce pomarli, a odtąd nagła, straszna samotność, jakgdyby okropna noc pustyni, zaległa moje więzienie. Trudno więc było jakiejkolwiek zmiany nie pragnąć. Postanowiłem wyjechać w podróż, i wybrałem się z ojczyzny, nie dbając o cel wędrówki. Ach przynajmniéj innem odetchnę powietrzem! Tak przybyłem do tego miasta; tak, opuszczony wreszcie od ostatniego towarzysza dni moich — od psa mojego, znalazłem ciebie.”

Lucylija schyliła się ku ziemi, aby popieścić psa zato, iż jéj darował przyjaciela, który jéj niemógł opuścić.

Lecz mimo wszelką miłość młodzieńca dla Lucylii, nie zdołała ona rozpędzić zupełnie posępnych chmur z jego czoła i pogodzić go z jego beznadziejnym żywotem.

»Ach, gdybym cię mógł ujrzéć!” mawiał z westchnieniem. »Gdybym mógł obaczyć to oblicze, które sobie nadarmo w méj wyobraźni odmalować pragnę.”

»Gdybyś je ujrzał, tobyś mię przestał kochać.”

»Niepodobna!” zawołał Amedej żywo. »Niechaj świat jak chce sądzi o tobie, mniebyś ty była miarą wszelkiéj piękności; a mając wyrokować o tém co piękne, sądziłbym nie ciebie podług innych, lecz innych podług ciebie.”

Osobliwie lubiał, gdy mu Lucylija opisy wojen, podróży, dzikich przygód czytała, — chociaż te i podobne przedmioty sprawiały mu zawsze najżywszą boleść. Ileż razy nie przerywała czytanie, słysząc jego westchnienia, i czując to mocno w sobie, iżby mogła być zdolną, wyrzéc się nawet roskoszy jego miłości, gdyby mu była w stanie wrócić tém owe szczęście, którego wyobrażenie jak widmo go ścigało.

W bogobojnéj rodzinie państwa Le-Tisseur była nieraz mowa o świętych i o cudach, a najczęściéj wieczorem przy kominku, gdy się jak zwykle poufne grono sąsiadów zgromadziło, a nabożne serca słuchaczy chętnie się urokiem tych podań przejmo-

wały. Jednego razu zgadano się o cudownym grobie trzech króli w Kolonii. Przy wszelkiéj bystrości umysłu nie uszła Lucylija wpływowi osób, z któremi od kolébki była wraz wychowana, i przysłuchywała się tym cudotworczym podaniom z podobną niezachwianą wiarą, jak wszyscy jéj znajomi.

Bo téż owi trzéj królowie ze wschodu nie byli zwykłymi orędownikami w obliczu Boga. Zwłoki owych wielkich mędrców i władzców, którzy najpiérwsi ze wszystkich mocarzy świata, oddali cześć i pokłon zbawicielowi, były istotnie godne, aby im szczególną cudotworną siłę, a osobliwie dziwną moc uzdrawiania przywłaszczano. Każdy z towarzystwa wiedział natychmiast jedno albo drugie niezaprzeczone podanie o jakiejś wyleczonéj na ich grobie słabości, wysłuchanéj modlitwie lub przebaczonéj zbrodni.

Najbardziéj zastanowiła Lucyliję powieść jakiegoś zacnego starca, który na swoje siwe włosy przysięgał, iż wszystko co im powiadał, było najświętszą prawdą.

Pewna białogłowa w Antwerpii dopuściła się zabronionego związku, który stał się powodem urodzenia głuchoniemego dziecka. Nieszczęśliwa matka uważała ten przykry los dziecięcia za karę swojego grzéchu. »Ach,« — mawiała z żalem — »czemuż całe nieszczęście na mnie samę nie spadło! Czemuż moje niewinne dziécię ma za mnie cierpiéć!« Ta myśl okropna dzień i noc ją dręczyła. Z czasem, gdy dziecina podrosła i coraz droższą matce się stawała, napawały ją jéj pieszczoty nieustanną goryczą, a nareszcie, nie mogąc już dłużéj ukoić swojéj skruchy, postanowiła pielgrzymować boso do cudownego grobu w Kolonii. Przybywszy na to święte miejsce, oddała się z zupełném wylaniem duszy, najgłębszemu żalowi i modlitwom. Ale jakież było jéj przerażenie, gdy powróciwszy do rodzinnego miasta, ujrzała swój skromny domek — w gruzach! Okopcone belki i popękane ściany świadczyły widocznie, iż ón stał się łupem pożaru. Przywalona boleścią, padła na ziemię. Zginełoż dziecko?! W téj chwili usłyszała jakieś dziecinne głosy — i oto patrz! jéj mały synek rzucił się jéj w ramiona i w głos zawołał: »Matko!«

Ocalono go z ognia, który przed kilką dniami wybuchnął; w trwodze zaś, która go ogarnęła, rozwiązał się węzeł krępujący mu język, wydał kilka wyraźnych jęków, przekleństwo nieba było zdjęte, a litościwi sąsiedzi nauczyli go już słowa: »Matko« — aby niém wracającą powitać mógł pielgrzymkę. Cóż więc teraz matce na tém zależało, że jéj przytułek w perzynę się obrócił — że straciła dobytek! Z wdzięczną pokorą przyjęła tak małą karę, gorąca jéj modlitwa została wysłuchaną, a wina matki nie ciężyła już na dziecięciu.

Ta powieść nabożnego starca uczyniła głębokie wrażenie na Lucylii. Cudowna pomoc, jaką modły trzeciéj osoby w nieszczęściu, tak podobném do niedoli ciemnego Amedeja, przynosiły — napełniła ją bogobojnémi myślami i religijną pociechą. »Dalekoż do cudownego grobu?« pomyślała. »Czyż nie ma już Boga w niebie! On, który winną wysłuchał, czemużby nie miał wysłuchać niewinnéj! A jeżli rzewne wylanie serca jest najmilszą ofiarą w jego oczach, możeż kto rzewniejsze za Amedejem zanieść modły, — mogłaż matka kochać mocniéj swe dziécię, niżli ja kocham jego? — Ale cóż się z tobą, niebogo, stanie! Skoro pan Bóg twojéj prośby usłucha, skoro ciemny przewidzi — natenczas i twój urok już zginął; — już ciebie więcéj kochać nie będzie. — Ach, mniejsza o to! — aby on tylko był szczęśliwym!«

Przejęła się zupełnie témi myślami; piastowała je tak długo, aż wreszcie dojrzały w zamiar i uczyniła ślub potajemny udać się w tę pielgrzymkę miłości. Ani Amedejowi ani własnym rodzicom nie zwierzyła swojego przedsięwzięcia; wiedziała bowiem dobrze, ileby oporu podobny zamiar znalazł. Na szczęście miała ciotkę w Bruxeli, do któréj co roku na miesiąc w odwidziny udawać się była zwykła, biorąc z sobą owoce dwunastomiesięcznéj pracy, aby je tam lepiéj niżli w Mechlinie sprzedała. Lucylija była już zaręczona Amedejowi; wkrótce miało nastąpić wesele, a ponieważ i ubogim rodzicom przykro jest wydawać córkę za mąż bez jakiegokolwiek posagu, przeto łatwo było Lucylii ukryć cel swéj podróży pod pozorem zaniesienia ich wspólnéj pracy do Bruxeli na sprzedaż, któréj dochód przynajmniéj na opędzenie najpotrzebniejszych wydatków weselnych mógł wystarczyć.

Jeden tylko Amedej opiérał się gorliwie téj podróży. Myśl o posagu rozgniewała go na prawdę. Samo nawet zapewnienie Lucylii, iż to raczéj zadowoleniem niż ofiarą dla jéj rodziców będzie, nie zaspakajało go wcale. »Mam się zostać bez ciebie!« uskarżał się owym żałośnym głosem, który tak dziwny urok na sercu Lucylii wywiérał. »To będzie drugą ślepotą dla mnie!«

»Tylko na krótki czas, Amedeju! najwięcéj czternaście dni.«

»Czternaście dni — i to krótko! O, ty nie liczysz czasu jak ciemni!« odrzekł Amedej z goryczą.

Na ten zarzut puściły się łzy z oczu Lucylii. Młodzieniec usłyszał jéj łkanie. A teraz uczuł całą niewdzięczność swoję, chociaż jeszcze nie wiedział, jak jéj był powinien za tę podróż dziękować. Wyciągnął ręce ku niéj i rzekł: »O przebacz! Ci którzy mogą świat widziéć, nie wiedzą, jak to okropnie, być sobie samemu zostawionym!«

»Lecz moja matka na chwilę cię nie odstąpi.«

»Twoja matka nie jest mi tém, czém ty jesteś.«

»I Julija będzie przy tobie;« dodała Lucylija z niejakiém wahaniem.

»Cóż mi po Julii!«

»Ach — oprócz moich rodziców jesteś ty jeden tylko, który w obecności Julii o mnie pamiętać może.«

»Jakto, Lucylijo?«

»Bo ona piękna jak anioł.«

»O, nie mów mi tego. Gdybym miał wzrok, przekonałbym świat cały, o ileś ty piękniejszą.

Wieczorem przed odjazdem Lucylii siedziała ona z matką i Amedejem do późnej nocy razem. Mówiono o przyszłości, układano plany, w szérokiéj pustyni świata wytknięto maleńki ogródek domowéj swobody i miłości, i barwiono go kwieciem, nie pomnąc burzy i mrozu! A gdy Amedej, prowadzony ręką kochanki, do swego pokoju wrócił, i oboje po raz ostatni się pożegnali, uklękła Lucylija na progu i wzniosła przepełnione uczuciem serce w gorącéj o jego zbawę modlitwie.

Nazajutrz rano, ze świtem, odjechała Lucylija. Przybywszy do Bruxeli, nie poszła wprost do ciotki, lecz wstąpiła do znajoméj sobie oberży na przedmieściu, i powierzywszy tam gospodyni swój koszyk z koronkami, udała się piechotą w dalszą drogę ku miejscu dokąd ją gorąca jéj wiara wiodła.

Lękając się aby ulżeniem sobie trudów w swojéj podróży nie uczyniła uszczerbku pobożnemu swemu celowi, wzbraniała sobie wszelkiego prawie spoczynku i pokarmu. Czasami tylko w skwarne południe schodziła nieco z drogi, i siadując pod rozłożystemi lipami, zatapiała się w miłych lecz oraz smutnych dumaniach. Zawsze jednak gnał ją jakiś niepojęty niepokój naprzód, aż nareszcie słaba — zemdlona — z zakrwawionemi nogami, stanęła u kresu swojéj pielgrzymki.

Codziennie po dwa razy przez cały tydzień, klękała u cudownego grobu i zanosiła rzewne modły do Tego, przed którego synem ci trzéj mędrcy i króle chylili niegdyś skroń z uwielbieniem.

W téj nieustannéj modlitwie postrzegał ją zawsze pewien sędziwy kapłan, i wzruszony jéj gorącém błaganiem nieba, przystąpił do niéj z ujmującą dobrocią, przemówił słowami religijnéj pociechy, a wreszcie zapytał, czyby jéj bądź uczynkiem bądź radą nie mógł być w czém pomocnym. Szczery udział malujący się w rysach świętobliwego starca, ośmielił zagadnioną dziewczynę: otworzyła przed nim swe serce, zwierzyła mu się ze wszystkiem. Jéj prostota i silna ufność w Boga, rozczuliły czcigodnego kapłana. Wybadał ją dokładniéj co do szczegółów choroby Amedeja, a po niejakim namyśle, ozwał się do niéj: »Córko, Bóg miłosierny i wielki, powinniśmy zaufać jego mocy, lecz nie trzeba zapominać, iż on zwykle śmiertelnych ludzi za narzędzia swojéj świętéj woli obiera. Wracając przez Leodyjum, pamiętaj tam zapytać się o lekarza imieniem Le-Kain. Jest on znany w całéj Flandryi ze swego leczenia ciemnych, a wszyscy zpobliska i zdaleka uciekają się do jego rady. Mieszka on tuż przy ratuszu; zresztą, każde dziecko wskaże ci drogę do niego. — Ale zaczekaj moje dziécię, napiszę ci słów kilka, które oddasz mu; jestto zacny, uczynny człowiek. Pamiętaj mu tylko całą rzecz dokładnie i tym samym głosem powtórzyć, jakeś ją mnie opowiadała.«

To rzekłszy, skłonił staruszek Lucyliję aby z nim poszła do jego mieszkania, a zniewoliwszy ją tam do posilenia się pożywniejszym pokarmem, niż to dotąd w swéj pielgrzymce czyniła, dał jéj błogosławieństwo na drogę i list do wspomnionego lekarza. Imię litościwego kapłana było dobrze znane wszystkim uczonym, a kilka słów jego prośby znaczyły u zacnych ludzi więcéj, niż najdłuższe polecenia wszelkich bogaczów Flandryi.

Z pociechą więc i nadzieją opuściła Lucylija starożytną Koloniję i nie czując już teraz ani upału słońca ani ostrych kamieni na gościńcu, wracała spieszno do Amedeja. Południe było, gdy stanęła znowu w Leodyjum i ujrzała spaniały gmach ratuszowy. Mnóstwo ludzi cisnęło się na rynku, ocierając się o pielgrzymkę, która nie bez zarumienienia spuściła na twarz zasłonę i zniknęła śród tłumu. Idąc za wskazaniem kapłana; nie trudno jéj było znaléźć pomieszkanie lekarza. Oddała list służącemu i została natychmiast przypuszczoną. Pan Le-Kain byłto długi, chudy mężczyzna o wysokiém czole, rzadkim włosie na głowie, i bardzo miłém wejrzeniu. I jego także wzruszyło szczere opowiadanie Lucylii, malującéj mu żywo niedolę swego narzeczonego i błogą nadzieję, jaką w odbytéj właśnie pielgrzymce pokładała.

„Dobrze, moje dziécię;“ — ozwał się lekarz — „obaczymy naszego pacyjenta. Możesz go tu do mnie przyprowadzić.“

»Ach, panie, sądziłam iż — « tu Lucylija nagle umilkła.

»Cóż więc, moja kochana?«

»Sądziłam, iż będę tak szczęśliwą sprowadzić pana do Mechliny. O wiém ja, wiém, co mi pan na to chcesz odpowiedzieć; wiém, iż panu czas bardzo drogi — ale nie jestem też tak ubogą, i Amedej jest bogatym — a w Bruxeli mam jeszcze koszyk koronek, które mi także niemałą kwotę przyniosą; miałam wprawdzie temi pieniędzmi koszta weselne opędzić, ale chętnie je panu oddam, jeżli nam tylko swoją pomoc przyrzekniesz.«

Le-Kain uśmiechnął się dobrodusznie. Należał on do owych ludzi, którzy chętnie w sercach ludzkich czytają, gdy one są jeszcze świéże i nieskalane. Dla przywrócenia wzroku ciemnemu, byłby chętnie

daleko większą podróż przedsięwziął, chociażby Amedej był żebrakiem.

»Dobrze — dobrze!« zawołał. »Lecz zapominasz moja kochana, iż pan Amedej nie jest jedynym człowiekiem w świecie, który mojéj pomocy potrzebuje. Muszę zajrzéć do mojéj konotatki i obaczyć, czyli się mogę na jeden albo dwa dni oddalić.«

To mówiąc dobył pularesu i przejrzał spis swych pacyjentów. Szczęście sprzyjało Lucylii. Przez kilka następnych dni nie było żadnego wypadku zapisanego, w którymby Le-Kaina jego pomocnik zastąpić nie mógł. Szlachetny lekarz nie dał się więc dłużéj prosić i postanowił udać się z Lucyliją do Mechliny.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 9ty i zawiera: 1) O nowowynalezionym aparacie rektyfikującym okowitę; przez pana Ludwika Steckiego. 2) O galaktometrze. (Dokończenie.) 3) O warzeniu piwa z mączki kartoflanéj. (Z ryciną przy nr. 8 Tygodnika.) Przez J. Żywickiego. 4) Doświadczony sposób ochronienia koniczyny od wyprzania. 5) Wiadomości handlowe.

Z Krakowa. Towarzystwo naukowe krakowskie, w połączeniu z uniwersytetem Jagiellońskim, odbyło dnia 22go lutego, na doroczną pamiątkę swojego założenia, publiczne w pałacu władysławsko-nowodworskim posiedzenie, na którém ks. Leo Laurysiewicz, rektor uniwersytetu i prezes towarzystwa odczytał sprawozdanie z prac naukowych w roku upłynionym, 1844 dokonanych. Józef Kremer zakończył toż posiedzenie odczytaniem rozprawy o związku filozofii Persów z ich sztuką piękną.

Edward hr. Raczyński. Gwałtowny zgon tego zasłużonego męża jest jednem z najsmutniejszych zdarzeń dni naszych. Człowiek celujący światłem, obdarzony dostatkami, używający obojga dla dobra kraju i bliźnich, cierpiał przy tem wszystkiem tak wiele, iż mu życie ciężarem a śmierć ulgą się zdały. To cierpienie za życia a pomnik znakomitych zasług po śmierci, nie sążż dostatecznym powodem do najszczérszego żalu i późnéj dlań wdzięczności? Oba te uczucia, przez cały naród dzielone, zapewnią mu miejsce w jaśniejszych przybytkach naszych dziejów. Czyja zaś pamięć godna jest jaśnieć w dziejach, téj nie rozświetnić szumnemi frazami panegiryku, ani zbyć nekrologiem. Dlatego nie zapuszczamy się tutaj w deklamacyjne treny nad smutnym zgonem zmarłego, lecz niemogąc się już żadnych nowych czynów jego szlachetnéj duszy spodziewać, przypomnimy w krótkim życiorysie te przynajmniéj główne zasługi, które o jego historycznem obywatelstwie świadczą.

Edward hr. Raczyński urodził się w Poznaniu około 1787 roku z ojca Filipa R. jenerała w wojsku Rzeczypospolitéj polskiéj, i z córki Kaźmierza Raczyńskiego, marszałka w. kor., jenerała wielkopolskiego. Straciwszy w dziecinnym wieku matkę, wychowywany naprzód pod okiem surowego ojca, a potém przez groźnego kapłana pod okiem babki, wojewodziny mielżyńskiéj, — doznał wcześnie przykrości tego życia. W latach młodzieńczych zwidzał uniwersytet w Frankforcie nad Odrą, a zmiany polityczne na początku niniejszego wieku zdarzone, zastały go już zdolnym do usług kraju. Niedługo po wybuchnieniu wojny pruskiéj, zaciągnął się pod chorągwie wojska narodowego, należawszy poprzednio do świty honorowéj, którą kwiat ówczesnéj młodzieży polskiéj naprędce w Poznaniu dla Napoleona utworzył. W stopniu oficera i adjutanta jenerała Fiszera miał udział w wszystkich potrzebach, w których wojsko polskie w roku 1807 w Prusiech wschodnich tak ważne usługi Francuzom wyświadczyło. Wkrótce przed bitwą pod Frydlandem, wysłany przez jenerała Dąbrowskiego z depeszami do cesarza Napoleona, został mile odeń przyjętym. Również i w dalszej wojnie francuzkiéj walczył Edward Raczyński w wielu bitwach, a między innémi i pod Sandomirzem, gdzie obok niego poległ przyjaciel jego książę Marceli Lubomirski, którego wypełniając późniéj ostatnią wolę, wydał jego dzieło o Anglii i projektowany instytut dla ociemniałych na oczy w Warszawie do skutku przyprowadził. Po traktacie wiedeńskim opuścił Edward Raczyński chorągwie narodowe, ozdobiony krzyżem *pro virtute militari*, aby krajowi w innym służyć zawodzie. Byłyto obowiązki polityczne, gdy w roku 1812, podczas wojny cesarza Napoleona z Rossyją, zgromadził się pamiętny sejm w Warszawie, a młody Edward Raczyński jako poseł departamentu poznańskiego wyprawionym tam został i chlubny w czynnościach tego czasu miał udział. Z upadkiem Napoleona nastąpiły liczne podróże za granicę, a wtenczas i Edward Raczyński wybrał się w podróż po krajach wschodnich, i zwidziwszy czarowne okolice Bizancyjum i Troi, ogłosił, jako owoc téj pielgrzymki, przepyszne dzieło: Podróż do Turcyi. Od téj chwili skierował Raczyński umysł swój całkiem ku literaturze i naukom, jako głównemu na teraz powołaniu narodu. Zamierzał najsamprzód przysłużyć się krajowi dokładną mapą w. księstwa Poznańskiego, która już w części przez utrzymowanych jego kosztem inżynijerów na cztery razy większą stopę od mapy Zanonego dokonaną została, — gdy nieprzewidziane przeszkody od powziętego zamiaru odstąpić nakazały. Wydał więc Listy króla Jana III i Pamiętniki do panowania Stefana Batorego, i rozpoczął tém szereg publikacyj, które literaturę ojczystą niezmiernie zbogaciły, a których wyliczać niema prawie potrzeby. Komuż bowiem, obeznanemu nieco z piśmiennictwem krajowem, nie są znane Pamiętniki Paska, Olbrachta Radziwiłła, pamiętniki do panowania Jana Kazimierza, Dziennik podróży Kopcia, kilkadziesiąt tomów Obrazu Polaków i Polski w 18m wieku, kodex dyplomatyczny Wielkiéj Polski i t. p. Wśród tych publikacyj pism obcych pracował Edward Raczyński nad swoim Gabinetem medali polskich, i Wspomnieniami Wielkiéj Polski, które obok rzetelnéj wartości będą długo ozdobą literatury pod względem typograficznym i artystycznym.

Nie przestał on atoli na tém. Obok prac i przedsięwzięć literackich, uwiecznił swoje imię kilką użytecznemi gmachami i zakładami, jakiémi są: Biblijoteka publiczna w Poznaniu, zawierająca przeszło 20.000 tomów, darowana miastu Poznaniowi z znacznem uposażeniem — wodociągi z pięknemi fontannami w mieście Poznaniu, — wspomniony wyżéj instytut dla ociemniałych w Warszawie — i tyle innych to zupełnie nowo wzniesionych, to restaurowanych budynków, świątyń, kaplic i t. d. Nie mówimy o kilku zniweczonych, chociaż najspanialej podawanych ofiarach. Pomniejszych ani wszystkich nie znamy, aniby-

śmy byli w stanie wymienić. Były przecież bardzo liczne i użyteczne. Do takich należą pomiędzy innémi: przyczynienie się do wystawienia posągu Mieczysława I i Bolesława Chrobrego; nagroda 6000 zł. pol. wyznaczona za napisanie najlepszej książki w języku polskim; nakłady na wyciągi z archiw: koronnego w Warszawie, tajnych w Królewcu, Berlinie, Dreznie, z archiw: watykańskiego w Rzymie, weneckiego, francuzkich i t. d.; wspiéranie młodzieży na uniwersytetach w Monachijum, Berlinie, Wrocławiu, Warszawie; fundusz na utrzymanie chorych u Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu — i t. d. — W życiu domowem jaśniał nieboszczyk wszystkiemi niemal cnotami. Miłosierny — wspiérał hojnie każdego ubogiego; czynny — obarczał się pracą i zatrudnieniem za innych; rządny w domu i interesach, nie tylko odziedziczonego majątku na tak ogromne ofiary dla kraju nie nadwerężył, ale owszem niezmiernie go pomnożył. Wstrzemięźliwy i skromny w jadle, napoju, ekwipażach, ubiorze, nieprzyjaciel zbytków, gry, hucznych zabaw, posiadał jeszcze tę dawną cnotę, iż nigdy danego słowa nie cofał. W przedsięwzięciach był wytrwałym i niezłomnym. W wielu naukach i sztukach pięknych, a osobliwie w znajomości dziejów, w językach i w budownictwie był biegłym. Różne też uczone towarzystwa przybrały go za członka i tak był między innemi — członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk warszawskiego, towarzystwa naukowego krakowskiego, jeograficznego w Paryżu, wrocławskiego, pomorskiego i innych — gdy zaś wszystko łagodzący powiew czasu nad jego grobem powionie, sprawiedliwa potomność umieści imię jego w świątyni pamiątek narodowych, obok mężów dobrze ojczyźnie zasłużonych.

Podania o Żydzie wiecznym tułaczu nie są wyłączną własnością wieków średnich; były one już znane w starożytności, lubo pod odmiennemi nieco kształtami. I tak, Antalides, syn Hermesa, miał przywiléj wiecznego życia, jak o tém Apollonijusz Rod. VII. 640 — i Diogenes Laert. VIII. 1. świadczą. Przytém musiał Antalides przybiérać różne postacie, posiadając jeszcze ten przymiot, iż niczego zapomnieć nie mógł. To ma niejakie podobieństwe z Żydem wiecznym tułaczem; chociaż przyznać należy, że trwanie w tém samém ciele, jest nierównie traiczniejszém, niż przechodzenie duszy przez różne ciała, które nawet czasami śmiesznem się staje, jak naprzykład w poematach indyjskiego poety Amaru, opisującego wędrówkę swojéj duszy przez mnogie ciała niewieście. Podania perskie wspominają o ptaku Simurgh, który już wiele stworzeń przed obecném stworzeniem przeżył i kilku dawno już ukończonych historyj uniwersalnych był świadkiem. Jestto ów wiecznie żyjący fenix klasycznéj starożytności. Podobnież i o kruku, który przez Noego z Arki był wypuszczonym, mówi legenda chrześcijańska, iż jeszcze dotąd żyje. Podania irlandzkie wspominają niejakiego Ruan, który sam jeden z potopu miał ocaleć, i aż do przyjścia świętego Patryka przy życiu zostawał. Ztąd widzimy iż pierwotna myśl Ahasvera, czyli Żyda wiecznego, jest bardzo dawną i w pogańskiéj starożytności już znaną.

Uprawa jedwabiu w okolicach Pragi i niektórych innych obwodach czeskich, czyni bardzo szybkie postępy, a rolnik tém chętniéj nią się zajmuje, iż ów pięciotygodniowy przeciąg czasu, który téj pracy poświęconym być musi, przypada właśnie pomiędzy siejbę a żniwa. Niema prawie wyrobu, któryby tyle rąk zatrudniał co jedwab'. Dziennik austryjackiego Lloydu czyni następujące uwagi nad uprawą jedwabiu: Funt oprzędów (kokonów) kosztuje 45 grajcarów walutowych; funt jedwabiu surowego wynosi już 25 do 30 reńskich, a funt materyi jedwabnej 75 do 100 reńskich. Podczas gdy cetnar cienkiej lub nadzwyczajnie dobrze uprawnéj wełny płaci się w Czechach w przecięciu nie wyżéj jak po 300 reńskich walutą, przedaje się cetnar surowego jedwabiu po 2500 a nawet 3000 reńskich. Ztąd się już okazuje, jak wielkie przytem sumy zarabiane bywają, gdyż zacząwszy od surowych oprzędów, podnosi się cena nieuprawnego jeszcze materyjału przez samo tylko rozsnuwanie onego 12- a nawet 15krotnie. Teraz wystawmy sobie pracę hodowania gąsienicy jedwabnikowéj, przędzenia surowego jedwabiu, wreszcie jego wyrabiania w materyje, a łatwo się przekonamy, iż żadna gałąź przemysłu lub gospodarstwa nie nastręcza tyle środków zarobku. Niema też żadnego płodu i wyrobu, któreby większy wpływ na dobry byt ludności pewnéj okolicy wywrzeć mogły, jak jedwab'; i byłoby istotnie nader ciekawą rzeczą, przeświadczyć się dokładnie, jak też daleco uprawa jedwabiu u nasby się powiodła.

Mumija z Ichaboe. Przed niedawnym czasem donosiły pisma angielskie o znalezieniu mumii oślej, którą na wyspie Ichaboe, w głębokości 20 stóp, pod licznemi warstwami nawozu ptasiego *guano* — odkryto, gdzie zapewne od wielu wieków leżała; teraz opowiada dziennik »*Liverpool-Times*« iż okręt »Colchester« jeszcze daleko ciekawszą mumiję z téjże wyspy do Liverpoolu przywiózł. Jestto mumija człowieka, który r. 1791 na wyspie Ichaboe umarł, i podług znajdującego się na pewnéj beczce napisu, był portugalskim żeglarzem, imieniem Krzysztof Delano, zostającym w służbie na jednym z północnoamerykańskich statków, przeznaczonych do łowienia wielorybów. Ciało to znaleziono jeszcze w marcu 1844 roku, lecz schowano je później znowu w nawozie *guano*, i dopiéro teraz przywiózł je kapitan Withers do Anglii, aby tutejsze zakłady anatomiczne postrzeżenia swoje nad niem czyniły. Tak ciało jak i mata okrętowa, która je okrywała, są całkiem zachowane; przeciwnie wszystkie szaty wełniane przy najpierwszém dotknięciu, prochem się rozsypały. Język mumii jest cienki jak opłatek, i ku wyższemu rzędowi przednich zębów zwrócony. Całe ciało mierzy pięć stóp i ośm cali długości i musiało do młodego, rzeźkiego człowieka należéć.

Pewien niezgrabny pomocnik cérulika miał wyrwać ząb chłopkowi. Przy operacyi zdarzyło się, iż przez nieostrożność zamiast jednego, dwa zęby wyjął. Biedny chłopek zaczął się mocno uskarżać, gdy pomocnik, będący zręczniejszym w języku niżli w ręce, rzekł mu zastraszająco: »Bądź cicho i nie powiadaj żem ci dwa zęby wyrwał, bo jak mój pan usłyszy, musisz za dwa zapłacić.« — Wieśniak bojąc się wydatku wyniósł się co prędzéj, kontent że tylko za jeden ząb zapłacił.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.